



**HELENA
SEKUŁA**

**ORCHIDEE
Z ULICY**

SZKARŁATNEJ

Helena Sekuła

ORCHIDEE Z ULICY SZKARŁATNEJ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-53-1

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

1. Debiut orangutana

Wczesny jesienny zmierzch zapadł nad Warszawą. Przed chwilą przeszedł gwałtowny, zimny deszcz. Chodniki i jezdnie lśniły wilgocią, w perspektywie Alej Jerozolimskich odbijały się na mokrym asfalcie kolorowe neony reklam i czerwone światła samochodów.

W sznurze pojazdów sunął coraz wolniej beżowy Volvo. Arvid Van der Meneer znowu spojrzał na plan Warszawy. Zorientował się, że zmylił drogę. Na widok umundurowanego funkcjonariusza milicji zatrzymał wóz przy krawężniku. Używając słów francuskich, niemieckich, holenderskich i niemiłosiernie przekręconych polskich usiłował dowiedzieć się, gdzie jest ulica Szkarłatna.

Ponieważ dość znośnie wymawiał trudną dla cudzoziemca nazwę, podsuwając przy tym milicjantowi pod oczy wymięty plan Warszawy, tamten zrozumiał i czerwonym długopisem zaznaczył na mapie trasę, którą można dojechać do poszukiwanego miejsca.

Beżowy Volvo pomknął teraz szybciej ku Ślimakowi prowadzącemu na Solec. Gdy wjechał w Czerniakowską, zaczął znów padać rześisty deszcz. Samochód skręcił w Szkarłatną – ulewa bębniła po masce i zalewała szyby. Nieliczne gazowe latarnie za ruchomą ścianą wody nie rozświeślały mroku. Van der Meneer włączył długie światła. Jechał dość szybko, rozpryskując kałuże.

Mijając ogródki działkowe, ujrzał nagle – zaledwie o kilka metrów od zderzaka wozu – rozciągniętą na bruku jezdni nieruchomą sylwetkę.

Człowiek! – przemknęło mu przez myśl.

Z całej siły nacisnął na pedał hamulca. Samochód zarzucił na śliskim błocie, szarpnięty w bok, wpadł w poślizg i zaczął toczyć się wbrew woli kierowcy. Van der Meneer błyskawicznie zwolnił hamulec, dodał gazu i stopując szybkość sprzęgłem wyprowadził wóz z groźnej sytuacji. Musiał tylko jeszcze wykonać ostry skręt kierownicą, bo odległość od leżącej postaci była już niebezpiecznie bliska, i znów posłuszny jego dłoniom Volvo zatrzymał się o centymetry od ludzkiej sylwetki.

Cudzoziemiec wyskoczył z wozu i pochylił się nad leżącym człowiekiem. Była to młoda dziewczyna. Zastygła w poprzek ulicy na kształt kamiennej postaci, jakie można jeszcze zobaczyć na starych grobowcach. Tylko jej ręce leżały rozrzucone szeroko, jakby chciały objąć strugi płynące z czarnego nieba. Przemoczona spódniczka oblepiała szczupłe uda. Jeden znoszony pantofel spadł z nogi i leżał opodal. Złote, zmierzwiłone włosy przykrywały białe policzki; reszta tego bogactwa nurzała się w kałuży. Dziewczyna wyglądała jak wyrzucona na brzeg topielica.

Van der Meneer przyklęknął i chwycił jej dłoń; palce były chłodne, ale wyraźnie wyczuł bijące tętno. Żyje – ucieszył się.

W tym momencie poczuł na karku lodowaty ucisk i usłyszał schrypnięty męski głos. Nie rozumiał wypowiedzianych słów, lecz brzmiały one rozkazująco i nieprzyjaźnie.

Dwie pary rąk chwyciły go za ramiona i odsunęły od leżącej. Dwie sylwetki, które wyłoniły się z mroku i deszczu, przywarły do jego boków.

– O co chodzi? – zapytał odruchowo, kalecząc język, mimo że sytuacja była zupełnie jednoznaczna.

W odpowiedzi został gwałtownie szarpnięty, a milcząca eskorta pociągnęła go bliżej parkanu ogródków działkowych. Oplątana pnączami siatka sprawiała, że w tym miejscu ciemność była już zupełna.

– Ruszajcie się! – rozkazał nagle miły w brzmieniu, kobiecy głos i... topielica ożyła. Energicznie podniosła się z kałuży. Sięgnęła po pantofel, przezornie wytrząsnęła z niego wodę i wsunęła stopę. Zebrała w dłonie spletaną gęstwę włosów i dokładnie je wyżeła.

Van der Meneer widział ją dość dobrze, poruszała się bowiem w smudze reflektorów samochodu; wpatrywał się w dziewczynę z gorzkim osłupieniem. Nawet w fatalnej sytuacji,

w jakiej się znalazł, wprawiał go w mimowolny podziw jej spokój i zachowanie, nie zdradzające cienia zdenerwowania czy napięcia.

– Dostanę kataru – oznajmiła tłumiąc kichnięcie. – No, co wy tam robicie? – podniosła nieco głos. – Przynajmniej zgaście tę iluminację! Za widno jest.

Van der Meneera dobiegło z ciemności krótkie zdanie. To trzeci, niewidoczny dla niego towarzysz dziewczyny coś jej odpowiedział.

– Dawaj – zażądała topielica – i chłodny ucisk stali na jego karku zelżał na moment. Zaraz ten sam chłód uczuł na swej krtani.

– Bądź grzeczny, króliczku – rzekła łagodnie – a włos ci z głowy nie spadnie. Jeżeli nie będziesz mnie słuchał, to... – nacisnęła mu szyję owym przedmiotem i roześmiała się cicho.

Van der Meneer nie był tchórzem, uchodził nawet za odważnego człowieka, ale teraz wstrząsnął nim dreszcz, i to nie tylko w wyniku doszczętnego przemoczenia.

– Trzęsiesz się? – zaszczebiotała. – Rzeczywiście, trochę mokro, dostaniesz kataru, podobnie jak ja – znowu stłumiła kichnięcie. – A jeżeli te matyły! – podniosła głos – będą dalej tak się ślimaczyć, to może nawet i zapalenia płuc... Prędszej – rzuciła niecierpliwie do swych niewidocznych towarzyszy – bo jak nadciągną gliny...

– Eee, za mokro... – odpowiedział z ciemności flegmatyczny, lekko sepleniący głos.

Dopiero w tym momencie Van der Meneer zdał sobie sprawę, że otacza go zupełna ciemność. Zgasili reflektory samochodu – pomyślał.

Dwóch opryszków plądrowało teraz wnętrze jego wozu. Trzeci podszedł do cudzoziemca i Van der Meneer poczuł ruchliwe dłonie, które opróżniały zawartość jego kieszeni.

– Wypatroszony – mruknął po chwili niewidoczny bandyta.

Cudzoziemiec zrozumiał i zapamiętał to szeleszczące słowo, ponieważ w tym momencie nabrał przekonania, że poza oblepiającym jego ciało mokrym odzieniem już nic przy sobie nie posiada. To słowo zresztą oddało mu później nieocenioną przysługę.

Od strony samochodu rozległ się przeraźliwy gwizd, zachlupotała woda pod ciężkimi krokami, towarzyszył temu stłumiony brzęk blachy. Następnie zachybotała siatka ogrodzenia, coś runęło na drugą stronę parkanu, plasnęło o rozmiękłą ziemię, znowu powtórzył się ten odgłos i znowu. Wkrótce ucichł szelest oddalających się nierównych kroków, człapiących po błocie.

Z szyi Van der Meneera ustąpił chłodny ucisk metalu. Niespodziewane, brutalne pchnięcie pozbawiło go równowagi; potoczył się z niewielkiej, śliskiej pochyłości, która oddzielała parkan od drogi, i uderzył twarzą o kamienie ulicy. Poczuł piekący ból nad brwią. Poderwał się wreszcie na nogi, coś ciepłego, lepkiego ściekało mu na oko.

Jak długo to trwało? – Van der Meneer stracił poczucie czasu. Było mu podle, roznosiła go złość, poza tym był bardzo zmęczony. W ciągu tego dnia pokonał odległość z Berlina do Warszawy.

Wszedł do wnętrza wozu. Wyglądało na to, że samochód nie został uszkodzony, ale kluczyków w stacyjce nie było. Biegąc do leżącej dziewczyny nie zabrał ich ze sobą.

Opuścił wóz i poszedł w górę ulicy – po drodze nie spotkał nikogo. Wreszcie dotarł do jakiegoś domu – załomotał do pierwszych drzwi. Przeraził mieszkańców okrwawioną twarzą i niezrozumiałym bełkotem.

– Police! – wykrzyknął rozpaczliwie.

Ludzie pojeśli. Stara kobieta obmyła mu twarz i opatrzyła skaleczenia. Usiłowała także, bezskutecznie zresztą, oczyścić mokre i utyłane błotem ubranie. Wreszcie zrezygnowała i podała mu drelichowy kombinezon; jej mąż pobiegł do telefonu.

– Wypatroszony! – wyskandował dramatycznie Van der Meneer, gdy znalazł się w komendzie przed dyżurnym oficerem milicji. – Nederland, Holandia... – dodał na jednym oddechu i przedstawił się.

W tym momencie do pokoju oficera dyżurnego zajrzał porucznik Cieślik, kierownik wydziału stołecznej służby X.

– Daj rozkaz, aby mnie odwieźli do domu. Za mokro na spacer.

– Dobrze, ale przedtem pomóż mi – poprosił tamten. – Ty znasz niemiecki – dodał wskazując Holendra.

– Jestem stworzony do wyższych celów – pouczył go Cieślik. – Co się stało temu łapserdakowi? – krytycznie zlustrował cudzoziemca. – Wyrósł ze spencerka – zauważył. Rzeczywiście, rękawy drelicha sięgały Van der Meneerowi tuż za łokcie, a nogawki kończyły się w połowie włochatych łydek.

Cieślik zaczął z nim rozmawiać. Tamten trochę bełładnie, ale szczegółowo opowiedział przebieg wypadku.

– Bulwy i nasiona storczyków – Holender z ciężkim westchnieniem zaczął wyliczanie strat. – Bardzo rzadkie okazy – tłumaczył gorączkowo, widząc ironiczny grymas na twarzy porucznika.

– Biedny maniak – mruknął Cieślik do kolegi. – Podbito mu oko z powodu storczyków.

– Co to takiego? – chciał wiedzieć oficer.

– Takie kwiatki, analfabeto botaniczny – wyduł wargi Cieślik.

Poza nasionami zrabowana została walizka z ubraniem, neseser z osobistymi drobiazgami. A przede wszystkim kamera filmowa: Bauer, o własnym napędzie elektrycznym, z obiektywem o zmiennej ogniskowej, kupiona w Bremie za trzysta dolarów, i... kakao. Znakomite, najlepsze na świecie holenderskie kakao, znane na wszystkich kontynentach ze swej fenomenalnej jakości, firmy: Veneer – jak zapewnił Holender.

– Meneer, Veneer – przedrzeźniał Cieślik. – Ile było tego kakao, w jakim opakowaniu?

– Osiemdziesiąt kilogramów – westchnął boleśnie cudzoziemiec. – A... – przypomniał sobie – jeszcze złoty zegarek i wszystkie pieniądze...

– Osiemdziesiąt kilogramów?! – Cieślik sądził, że się przesłyszał. – Czy jest pan przedstawicielem handlowym firmy Veneer? – indagował oszołomiony tą ilością. – A w czym było przewożone?

– No, oczywiście, w metalowych, szczelnie zamkniętych pudełkach, wagi jeden kilogram każde, z etykietkami firmowymi. Tak doskonałe kakao musi być odpowiednio pakowane. Inaczej straci wartość i aromat.

– Ratunku! ale wpadłem. Przecież to encyklopedia storczykowo-kakaowa – jęknął Cieślik po polsku i zwrócił się do cudzoziemca: – W jakim celu wiozł pan do Warszawy aż tyle kakao? Chciał pan to sprzedać, wymienić na nasiona, czy jak?

– Sprzedać?! – zgorszył się Holender. – To było pomyślane jako prezent – powiedział z urazą. – Przyjechałem do polskiego kolegi, wybitnego specjalisty od hodowania storczyków.

– To już do samej śmierci chciał go pan zaopatrzyć w kakao. On tak je lubi, z mleczkiem, co? – powątpiewał Cieślik.

– On ma znajomych i kolegów, innych plantatorów – cierpliwie wyjaśniał Van der Meneer. – Więc, żeby wszystkich mógł obdzielić takimi samymi prezentami... – wreszcie zdenerwowała go sceptyczna mina porucznika. – Ja jestem plantatorem kwiatów, specjalistą, rozumie pan? – powiedział dobitnie – a nie akwizytorem kakao. Pan mnie podejrzewa, że ja przemyciłem na handel...

– No nie – uspokoił go Cieślik. – Osiemdziesiąt kilo trudno przewieźć nie zauważone.

– Jestem plantatorem-eksporterem – podjął Holender. – Moje kwiaty są znane na kontynencie... W tym roku na wystawie w Amsterdamie otrzymałem złoty medal... to już dziewiąty złoty medal...

– Co on mówi? – zainteresował się oficer.

– Że jest najlepszym badylarzem w Holandii i okolicach.

– Trzeba go ulokować na noc w hotelu – stwierdził oficer.

Cieślik powtórzył propozycję Holendrowi. Tamten pokręcił głową i podziękował za troskę o jego nocleg. Wyjaśnił, że pojedzie do swego polskiego kolegi, do którego podjął tę daleką podróż.

– Mam duże szczęście, że ci bandyci zostawili mi dokumenty – westchnął na koniec.

Cieślik, według wskazówek cudzoziemca, odtwarzał portret pamięciowy dziewczyny, którą tamten spotkał na drodze. Portrety takie składa się na zasadzie łamigłówki. Na stole leżały wyrysowane na oddzielnych kawałkach przejrzystej kalki technicznej fragmenty twarzy ludzkiej. Osobno: brwi, usta, oczy, owal twarzy.

– Włosy bardzo gęste, jasne włosy... może peruka? – skorygował Holender przyglądając się bacznie czynnościom Cieślika.

Na białym tle kalki czarne linie tuszu utworzyły rysunek trójkątnej, drobnej twarzy, z wielką grzywą włosów. Co do innych szczegółów Van der Meneer nie miał pewności, czy je właściwie zapamiętał.

Tymczasem wróciła ekipa dochodzeniowa, wysłana poprzednio przez dyżurnego na ulicę Szkarłatną. Ludzie byli zabłoceni i przemarznięci. Ociekali wodą. Wraz z nimi wszedł również uszargany i mokry pies. Przywarował do nóg swego przewodnika, ułożywszy pysk na wyciągniętych łapach.

– Ani śladu – zameldował młody podporucznik. – As nie chwycił tropu...

Nie trzeba było tego wyjaśnienia. Wystarczyło spojrzeć na imiennika bohatera czytanek z elementarza, aby przekonać się, że tym razem As nie spisał się. Leżał apatyczny, osowiały i wyraźnie zawstydzony.

– Nie można mieć do niego pretensji – stanął w obronie swego psa przewodnik. – Ślad mógł iść tylko od wozu. Nie dosyć, że samochód śmierdzi benzyną, to jeszcze błoto po kolana.

– A ogródki? – nie ustępował oficer. – Przecież oni uciekli przez ogródki, wyraźnie wam to powiedziałem.

– Spójrz, jak wyglądamy – parsknął porucznik. – To przez te cholerne ogródki. Złaziliśmy je wzdłuż i wszerz.

– Znaleźliśmy kluczyki od wozu. To zasługa Asa – nie omieszkał ratować honoru psa przewodnik i rzucił na biurko lśniący przedmiot. – Znaleźliśmy je nad odnogą jeziora Czerniakowskiego. Prawdopodobnie sprawcy mieli zamiar je utopić. Ugrzęzły w błocie nad brzegiem.

Van der Meneer, który śledził z napięciem twarz przybyłych i ich gesty, ożywił się na widok kluczyków do swego samochodu. Okazało się, że ekipa dochodzeniowa przyprowadziła wóz na dziedziniec komendy.

Cieślik opowiedział pokrótce Holendrowi o wynikach poszukiwań, poinformował go też, że następnego dnia powinien zgłosić się w komendzie dzielnicowej. Na kartce wykaligrafował adres i podał go cudzoziemcowi. Zanotował również adres warszawskiego znajomego Van der Meneera i wpiął kartkę w akta rozpoczętego dochodzenia.

– Trzeba pana Meneera odholować do znajomego – zdecydował oficer dyżurny.

Holender, pilotowany przez milicyjny radiowóz, tym razem bez przeszkód dotarł do celu swej podróży.

Za wysoką siatką, w głębi ciemnego ogrodu, stał biały dom. Niewyraźnie majaczyły plamy oświetlonych okien. Van der Meneer nacisnął dzwonek umieszczony na furtce. Po chwili z tamtej strony ukazała się postać otulona w długą, nieprzemakalną pelerynę. Rozwarła się brama i beżowy Volvo wtoczył się na asfaltowy podjazd.

– Doktor Adam Brożek? – upewnił się Holender. Tamten skinął głową i gestem zaprosił zmarzniętego gościa do mieszkania.

Wprost z tarasu weszli do ciepłego hallu. Stały w nim nieliczne stylowe meble, podłogę zaścielał puszysty, pastelowy w barwie dywan.

Van der Meneer zatrzymał się przy progu na lśniącem parkiecie, bowiem przypomniał sobie, że ma nieznosnie zabłocone obuwie. Niezdecydowany spojrzął na swego gospodarza.

Doktor Brożek również przyjrzał się swemu gościowi i dopiero teraz spostrzegł jego dziwaczny strój.

– Zaraz panu wszystko wyjaśnię – szybko po niemiecku powiedział Holender. – Spotkał mnie bardzo przykry wypadek...

– Później – uprzedził dalsze wynurzenia doktor; w jego tonie zabrzmiała rezerwa. – Na pewno chce się pan odświeżyć – nie czekając na odpowiedź Holendra, skierował go do bocznych drzwi i przekazał pod opiekę kobiety w ciemnej, luźnej sukni, o nijakim wyglądzie.

Gdy po kilku minutach Van der Meneer opuścił łazienkę, przyodziały w płaszcz kąpielowy pana domu, ta sama niewiasta wskazała mu powrotną drogę do stylowego hallu. Przy stoliku nakrytym już do kolacji oczekiwał gospodarz.

Holender zlustrował pokój i zobaczył kunsztownie intarsjowane jasnym drzewem biureczko, na którym stały rozstawione duże, proste figury turniejowego kompletu szachów. Podeszedł do antycznego biureczka, ujął w dłoń gońca białych.

– Zagramy? – poprosił tonem namiętnego gracza. – Pan pozwoli, że zjemy później – dodał śpiesznie, jak gdyby chciał uprzedzić sprzeciw gospodarza.

Doktor Brożek skinął głową na znak aprobaty i zasiadł po przeciwnej stronie szachownicy. Grał czarnymi. Białe gościnnie pozostawił swemu ekscentrycznemu gościowi, któremu pragnienie rozegrania partii odsunęło na drugi plan nie tylko kolację, ale i cel dalekiej podróży oraz niedawne kłopoty, o których jeszcze nie zdążył opowiedzieć.

Ruchem b 2 – gość rozpoczął grę; w odpowiedzi czarny pion przesunął się na pole b 4.

W skupieniu śledzili swoje posunięcia na szachownicy. Partia trwała nader krótko – każdy z graczy wykonał tylko dziewięć ruchów.

– Remis! – przerwał milczenie Brożek. – Ciekawa obrona...

– A propos obrony – westchnął gość. – Nie obroniłem się przed napadem rabunkowym. – Po czym dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami opowiedział wszystko, co go spotkało tego wieczoru.

– Dopiero teraz pan mi to mówi? – z wyrzutem zawołał Brożek.

– Dotychczas nie dał mi pan okazji, żeby to opowiedzieć – mruknął Holender – Mam zwyczaj szanować zwyczaje, szczególnie w nie znanym mi domu.

– Dlaczego pan zawiadomił milicję bez porozumienia ze mną? – Doktor był bardzo niezadowolony.

– Aby były większe szanse chwycenia złodziei. Dłuższa zwłoka zmniejsza prawdopodobieństwo odzyskania zrabowanych rzeczy. Chyba to logiczne? – wzruszył ramionami Holender.

– Na jakim świecie pan żyje?! – zirytował się Brożek.

– Nad ujściem Skaldy – uśmiechnął się gość. – Zrabowano mi storczyki, kamerę, zegarek... – wyliczał odginając palce – i... osiemdziesiąt kilogramów kakao. T r z e b a to odzyskać...

– Koniecznie przy pomocy milicji?

– Uważam, że ściganie bandytów leży w kompetencjach policji – z przekonaniem oświadczył gość. Zna pan lepszy sposób? – z zaciekawieniem przyjrzał się gospodarzowi.

– Znam – stwierdził sucho doktor.

– To może tych rabusiów też pan zna? – Holender nie spuszczał wzroku z gospodarza.

– Bardzo prawdopodobne – przyznał doktor.

– Mam rozumieć – Van der Meneer ostrożnie dobierał słowa – że to pana znajomi zgotowali mi takie powitanie w Warszawie?

– Panie Van der Meneer, mówi pan niedorzeczności, za które będzie panu wstyd. Nie znając warszawskiej specyfiki, zrobił pan już drugi błąd w ocenie sytuacji. Po pierwsze: ja nie

mam, nazwijmy to, oddanych sobie milicjantów, którzy specjalnie przejmą się stratą moją lub mego zagranicznego gościa. Po drugie: demonizuje pan moją rolę... Przecież to pomysł jak z kiegoś filmu. Ja! współuczestniczący w ograbieniu pana?

– Nie powiedziałem tego dosłownie – bronił się Holender. – Tylko że brak im dyscypliny... no, że działają na własną rękę... – tłumaczył coraz bardziej zakłopotany.

Doktor wybuchnął serdecznym śmiechem – Holender nie podzielał jego wesołości.

– Ja nie mam na swoich usługach ani na swoje rozkazy żadnych ICH – podjął Brożek. – Ludzie NASZEJ SPECJALNOŚCI pracują nieco inaczej nad Wisłą niż nad Skaldą. Musi pan to zrozumieć, w przeciwnym wypadku nie uniknie pan groźnych pomyłek. Moich i n t e r e s ó w nie muszą strzec żadni ONI. Wystarczy ogrodzenie z siatki i czujny pies. Spróbuję odzyskać to, co panu zrabowano, bez pomocy milicji.

– Układy? – zaczynał rozumieć Holender. – To może bardzo drogo kosztować – westchnął zaniepokojony.

– Mam nadzieję, że wcale nie tak dużo. Widzi pan, podejrzewam o ten numer jedną nieznosną dziewczynkę... to amatorka...

– To wyrafinowany gangster w krótkiej spódnicy! – z nienawiścią syknął Van der Meneer.

– Jeszcze jedno. Jeżeli podejrzenia okażą się słuszne, to jutro milicja również zajmie się tą dziewczyną. Oni ją znają, wprawdzie nie aż z takich wyczynów, ale wystarczająco, aby się nią zainteresować w związku z tą sprawą. Jeżeli dojdzie do jakiegokolwiek konfrontacji, to pan nikogo nie rozpozna, Van der Meneer. Nikogo! – podkreślił.

– Ja, ja! nikogo – ze zrozumieniem przyrzekł Holender.

Zmęczony cudzoziemiec położył się spać, Brożek natomiast wyszedł z domu i po chwili kroczył dobrze znaną sobie drogą na przelaj, przez puste, błotniste pole. Jego pies, wielki dog-arlekin, sunął przy nim bezgłośnie jak cień.

Po kwadransie ostrego marszu doszli do majaczącej w mroku rudery. Był to kawałek murowanego baraku – bo reszta była rumowiskiem – nakrytego byle jak skleconym dachem z papy.

Brożek zostawił przed domem psa, który przywarował pod okapem, i pchnął koślawe drzwi. Znalazł się w ciasnej sionce, coś z brzękiem potoczyło się po podłodze. Namacał klamkę, wszedł do obszernej izby, oświetlonej lampą naftową i smugami czerwonego blasku z żelaznego piecyka, w którym buzował ogień. Przy progu klęczała dziewczyna, kończyła mycie podłogi.

– Proszę usiąść, doktorze – gestem zaczerwienionej ręki wskazała tapczan. Energicznie podciągnęła za obszerne na nią, męskie spodnie. – Tylko wyleję brudy! – chwyciła wiadro i wybiegła na dwór.

Brożek jeszcze nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, gdy jego wzrok padł na ścianę obok piecyka. Na haku suszyła się kurtka i jeszcze jakieś łachy, a na samym wierzchu wisiało coś, co przypominało jasne, obfite blond loki.

Doktor był wstrząśnięty tym odkryciem. Mimo swych podejrzeń miał dotychczas niejaki wątpliwości co do bezpośredniego udziału dziewczyny w napadzie na Holendra. Te medytacje przerwał jej powrót.

– Znowu upiła się do nieprzytomności – poskarżyła się ze złością dziewczyna, wskazując dłonią w stronę kotary przedzielającej pokój.

– Za co się upiła? – zapytał odruchowo; znał stosunki panujące w tej rodzinie, niejednokrotnie też wysłuchiwał żalów dziewczyny.

– W poniedziałek nazbierałam butelek. Wie pan, po niedzieli to na ogródkach butelek pełno. Wyszłam tylko na chwilę do sklepu, a ona włamała się do komórki i wszystkie co do jednej wyniosła... Niech tylko wytrzeźwieje stara zaraza, to Marian jej tak przyłoży, że

znowu przez jaki miesiąc będzie spokój... Żeby własne dzieci okradać? – krzyknęła oburzona.

– Gdzie jest Marian?

– Pojechał do kumpli na Pelcowiznę. Dzisiaj go nie będzie. Szmata drogi, po co ma moknąć na tej cholernej plusze. Ale leje, co? Psa szkoda wygnać na taką pogodę. Niech pan zawoła Arlekina, żal go... Nic nie szkodzi, że zabłoci podłogę. Zetrę po nim – dodała wielkodusznie.

– Dlaczego nie przyszlście z Marianem do roboty przy inspektach? – zapytał ostro.

– W taką pluchę to kości bołą – ziewnęła ostentacyjnie. – Kilka godzin przy kompoście widłami machać, to pan wie, jaka to orka? A jeszcze człowiek przemięknie na wylot i skostnieje przy tym. Zdrowia szkoda... – pozezowała na Brożka.

– Wolicie zbierać butelki?

– Eee, w taki deszcz to też się nie zbiera – znów ten zmęczony, gorzki ton. – Ale teraz to sobie odpocznimy, doktorze! – zapewniła go nagle. Głos uległ natychmiastowej zmianie, zabrzmiał jasno, radośnie.

– Kto odpocznie?

– Ja z Mańkiem. Pożyjemy jak te paniska! – pobiegła spojrzeniem za jego wzrokiem i poderwała się do łąchów schnących przy piecyku. Ostrożnie zdjęła z wieszaka jasnozłotą perukę. Strzepnęła obfite pasma lśniących włosów. Pieściwie rozczesała je palcami. – W dechę, nie? – zapytała z dumą, biorąc zainteresowanie Brożka tym przedmiotem za zachwyt.

– Owszem, niczego – powściągliwie pochwalił Brożek. – Skąd to masz?

– Kupiłam na bazarze. Cztery stowy jak jeden grosz wyłożyłam. Ale piękna, no nie? I bardzo praktyczna – zachwalała. – Jest ciepła i elegancka. Teraz to bardzo modne, wie pan?

Odgarnęła z czoła czarne, krótkie włosy i energicznie nadziała na głowę połyskujące jak złoty hełm loki z nylonowych włókien. Okręciła się na pięcie, niecierpliwie podciągnęła opadające spodnie. Wykonała kilka łabędzych ruchów głową, demonstrując bogactwo sztucznych włosów.

– A jakie są mięciutki, niech pan dotknie – zachęcała. Nachyliła się, aby mógł to sprawdzić.

– Magda... – Brożek wstał. – Była już po ciebie milicja? – zapytał sucho.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nie zdobyła się na odpowiedź.

– Zatkalo cię, co? – pokiwał głową doktor. – To ciesz się, że jeszcze nie była, ale lada moment może być. Wiesz, co ci poradzę? Dawaj to – ściągnął jej z głowy perukę i wtoczył do kieszeni.

Zamarła, ale nie zrobiła żadnego ruchu, aby ją odebrać.

– Ubierz się i natychmiast chodź ze mną.

– A dlaczego ma być milicja? – odzyskała mowę, dobrze udawała zdziwienie. Mimo to zaczęła gorączkowo przebierać w stercie ubrań na wieszaku. – Wilgotne, cholera!

– Matka dawno śpi? – chciał wiedzieć doktor.

– Mówiłam, że rano urznęła się w trupa, że też się taka cholera nie zapije na śmierć, i od tej pory śpi, o bożym świecie nie wie – odparła z rozdrażnieniem. – Sto osiemdziesiąt butelek przechłala, niewąska norma, no nie? Niech się pan odwróci, będę zakładała spódnice – oznajmiła.

Wyszli. W milczeniu przebyli drogę do willi Brożka. Domownicy już spali.

– Marian pojechał ukryć łup? – stwierdził raczej niż zapytał doktor, gdy znaleźli się w jego pokoju.

– Nie wiem, o czym pan mówi? – popatrzyła na niego spode łba.

– Słuchaj, smarkata – powiedział bez złości – zostało bardzo mało czasu. Wolisz rozmawiać z dzielnicowym? Mogę ci to natychmiast umożliwić.

Zaczęła płakać i rozcierać kułakiem łzy. Zerknęła przy tym na Brożka, sprawdzając wrażenie.

– Przestań się mazać. Nie rób przedstawienia. Za dobrze cię znam, aby dać się nabrać. Jeżeli masz zamiar twierdzić, że nic nie wiesz, to po co tutaj przyszedłeś?

– Bo jestem biedny człowiek – chlipnęła – a pan jest bogaty i znany w okolicy, to pan może i pomóc, i skrzywdzić – wyłożyła swoją życiową filozofię.

– Napadliście na mego przyjaciela, który przyjechał z Holandii – zawiadomił dziewczynę.

– O rany! – ze szczerzego zdumienia zaokrągliły się jej oczy. – Panie doktorze, myśmy nie wiedzieli, niech mnie wesz rozszarpie! – uderzyła się w pierś kułakiem.

– W to wierzę – skinął głową. – Oprócz ciebie i Mariana kto jeszcze był, znam ich?

– Nie. Oni nie z Czerniakowa. Kolesie, bracia-bliźniaki z Pelcowizny.

– Piękny zawód sobie wybrałaś. Bardziej popłatny niż butelki i drobne kradzieże...

– U pana nie kradnę i pan o tym wie – powiedziała wymijająco. – Inaczej to pan by mnie do swego ogrodu nigdy nie wpuszczał.

– Który to już napad?

– Pierwszy raz. I to nie napad. To teraz tak paskudnie wygląda. Tylko dla draki założyłam się z chłopakami, że facet zatrzyma się, żeby mnie ratować.

– I dla draki został doszczętnie obrabowany?

– Tak to jakoś później wyszło. Chłopaki brali... – mruknęła nie patrząc mu w oczy. – Nawet mi trochę było łyso...

– Wzruszające – zakpił. – Aha, z tego rabunku macie sobie pożyc jak te paniska? – użył jej niedawnego zwrotu.

– Oddamy – oświadczyła niepewnie.

– Czym terroryzowaliście?

– Kluczem – parsknęła śmiechem na to wspomnienie. – Zwykłym kluczem od chaty. A trząsał się jak zajęcza kita!

– Gdzie Marian zawiózł łup?

– Oni trzej powieźli majdan do Kazka i Zenka na Pelcowiznę – wymieniła dokładny adres.

– Kto wie, czy nie trafili już do jakiegoś komisariatu. Sądzę jednak, że mają szczęście łobuzy, bo gdyby ich zatrzymano, to u was byłaby już milicja. Ile oni mają lat?

– W wieku Mańka – odparła ponuro.

– Dawno masz perukę?

– Jakiś tydzień.

– Kto ją widział i komu się chwaliłaś?

– Chłopaki i matka... raz byłam w niej w sklepie.

– Zaraz ją spalę – zawiadomił. – Nigdy nikomu nie przyznasz się, że w ogóle ją miałaś.

– Spalić! Co pan, taką piękną rzecz, taką drogą – zaprotestowała. – Kupiłam ją za uczciwe pieniądze.

– Jesteś skończona idiotka. Gdyby milicja przyszła przede mną, już byś siedziała. Ten cudzoziemiec złożył zameldowanie. Podał w rysopisie długie, jasne włosy, nie wykluczył peruki. A ty ją trzymałaś w najbardziej widocznym miejscu. Ech ty, Mata Hari z Czerniakowa. Wymyśliłaś napad, ale co dalej, to już zabrakło ci pomysłu... Co masz w domu z kradzionych rzeczy?

Zanurzyła rękę w kieszeni kurtki i położyła przed doktorem zegarek ze złotą bransoletką – własność Holendra.

– W domu nic więcej nie ma, już taka głupia nie jestem – rzekła.

– To by wystarczyło. Gdzie pieniądze, walizki? One są bardzo charakterystyczne.

– Pieniądze ma Maniek. Walizki w jeziorze Czerniakowskim. Za dużo tego było na jeden raz. Właśnie te walizki takie znaczne, to się je zatopiło. Pomyślałam sobie, że są w nich łachy, to potem się wyciągnie i wysuszy.

– Wszystkie pudełka z kakao zabrali na Pelcowiznę?

– Nie. Za ciężko było. Jeden worek z puszkami też w jeziorze. Szczelne są i w nylonowym worku, to nie zamoknie.

– Słuchaj mnie uważnie – podjął Brożek. – Zaraz pojedziesz na Pelcowiznę, powtórzysz chłopakom naszą rozmowę i powiesz, że jutro wieczorem przyjadę po kakao. Nie ma prawa brakować ani jednego pudełka. Rozumiesz? Wszystkich pudełek było osiemdziesiąt...

– Nie liczyliśmy...

– Powtarzam, osiemdziesiąt! Jeżeli zabraknie chociaż jednego, oddam sprawę milicji.

– Nic nie ukradniemy – zapewniła gorąco. – Przecież wszystko panu powiedziałam, co, gdzie, kto... O chłopakach z Pelcowizny mogłam nie mówić, no nie? A ja szczerze...

– Umawiamy się, że dzisiaj od dwunastej do dziewiętej wieczorem w s z z y s c y pracowaliście u mnie w inspektach. Rozumiesz, ty nic dobrego, że was bronię. Idź teraz szybko i koniecznie wracaj razem z Marianem. Oboje musicie nocować w domu. Jeśli nawet przyjdzie do was milicja, nie wspominajcie o kumplach z Pelcowizny, a na przyszłość trzymać mi się od nich z daleka! Rano punkt siódma oboje z Marianem przyjdziecie do mnie do pracy. Ruszaj! to masz na taksówkę – wetknął jej banknot do ręki.

O szóstej rano do mieszkania w ruderze zapukał dzielnicowy. Już z daleka usłyszał krzyki i wyzwiska, więc przyspieszył kroku i wszedł do izby.

– Zabił mnie, zabił! – histerycznie zawyla niemłoda, zniszczona kobieta na widok milicjanta. Ten odsunął od niej krępego osiłka o tępej twarzy.

– Własne dzieci okrada – wyseplenił usprawiedliwiająco i wlepił wodniste oczy w sierżanta.

– Kazałam Mańkowi, żeby jej dolał – powiedziała Magda i wyjaśniła, na czym polegało przewinienie ich matki.

– Jeżeli będziesz podburzała Mariana do maltretowania matki – powiedział surowo dzielnicowy – to zrobię wam sprawę i pójdziecie do więzienia...

– Poprawczak, jestem nieletnia! – skorygowała beczelnie.

– Nie podskakuj! – zgromił ją dzielnicowy. – Wiesz, że załatwiam dla niej miejsce w szpitalu. Alkoholizm to choroba, miejcie dla niej trochę litości... Gdzieście wczoraj byli oboje między szesnastą a osiemnastą?

– W szklarniach doktora – burknęła Magda.

– Gdzie masz perukę? – dzielnicowy przyjrzał się dziewczynie, a następnie rozejrzał po mieszkaniu.

– Nie ma żadnej peruki – skłamała przekonująco. – Nie rozumiem, o co znowu pan się nas czepia.

– Ma perukę, ma! – wykrzyknęła mściwie matka. – Czego kłamiesz, sama mówiłaś, że na bazarze kupiłaś!

– Delirek cię znowu bierze – zaopiniowała Magda. – Zaraz zobaczysz stado karaluchów, co, nie zna jej pan? – powołała się na świadectwo dzielnicowego. – Pamięta pan, co pan z nią miał wtedy, jak się jej zwidiały karaluchy?

– W sklepie też cię widzieli w peruce. Oni nie mają zwidów.

– Aaa... pewno chodzi panu o moją włochatą czapkę – lekko przypomniała sobie Magda. Pogrzebała w stercie łachów na wieszaku. – Proszę – wręczyła milicjantowi podniszczoną beżową czapkę, która bardzo przypominała perukę. Nylonowe krótkie runo miało nawet przedziałek.

– Ubierajcie się – rozkazał sierżant, pakując czapkę do raportówki.

– Niech pan nie zabiera mi dzieci!!! – kobieta zanosła się histerycznym szlochem.

W komendzie zajął się rodzeństwem oficer dochodzeniowy.

– W moim rejonie to tylko ich mogę typować – zawiadomił dzielnicowy. – Z długimi, jasnymi włosami nie mam u siebie żadnej dziewczyny. Potem powiedział o peruce i położył na biurku sfatygowaną czapkę Magdy.

Porucznik przyglądał się portretowi na kalce technicznej i porównywał z twarzą podopiecznej sierżanta. Dostrzegł podobieństwo w trójkątnym owalu twarzy.

Porucznik poprosił z sąsiedniego pokoju Van der Meneera. Zapytał go, czy rozpoznaje dziewczynę. Holender miał wątpliwości. Tamte jasne włosy jednak bardzo ją zmieniały. Oficer śledczy nie dał za wygraną – przeprosił Van der Meneera i wyciągnął jasną perukę.

Pod Magdą ugięły się nogi, o mało nie załamała się i nie zawołała głośno, że doktor zdradził. Ale w tym samym momencie spostrzegła, że to nie jest jej peruka, tylko trochę podobna do tamtej. Marian nawet nie drgnął. Z niezmaconym spokojem gapił się na perukę. Ocieżały umysłowo, przyzwyczaił się ślepo słuchać siostry. Mimo że młodsza – była dla niego wyrocznią w każdej sprawie. Poprzednio nakazała mu milczenie. Małomówny z natury, milczał, spokojny, że Magda wszystko załatwi.

Oficer znów zaprosił Holendra. Teraz, gdy jej chudy pyszczek okalały jasne, długie włosy, cudzoziemiec był pewien, że ma przed sobą owego gangstera w spódnicy. Pomny jednak umowy z Brożkiem, zaprzeczył kategorycznie, mimo że zakipiała w nim złość.

Dopiero teraz oficer zaprosił do pokoju oczekującego w poczekalni doktora. Na jego widok Magda rozplakała się naprawdę; mimo swego niewątpliwego cwaniactwa pobyt w komisariacie bardzo ją przeraził.

Brożek potwierdził to, co zgodnie utrzymywało rodzeństwo, że krytycznego dnia zajęci byli na jego plantacji.

– Może gdzieś wychodzili bez pana wiedzy? – indagował oficer.

– Cały czas pracowałem razem z nimi – uśmiechnął się doktor.

Opinia ogrodnika i nierozpoznanie rodzeństwa przez ofiarę napadu przeważyły szalę na ich korzyść. Dość słaba poszlaka z peruką – ponieważ Holender stwierdził w swoim zeznaniu: „...mogła to być również peruka...” – upadła wobec godnego zaufania świadectwa doktora Brożka.

– Chodźcie, dzisiaj też mam dla was zajęcie – powiedział ogrodnik, gdy oficer dochodzeniowy oznajmił siostrze i bratu, że są wolni. Podreptali potulnie, usiłując nie patrzeć na idącego obok Holendra. Cudzoziemiec również udawał, że nie zwraca na nich uwagi.

Doktor zaprowadził rodzeństwo do oranżerii. Oboje poczuli się wyraźnie lepiej bez towarzystwa Van der Meneera.

– Panie doktorze – zaczęła dziewczyna – oni od razu zanieśli wszystko do takiego jednego, co skupuje lewy towar. Bali się i nie chcieli targać do chaty. Ojciec znajomków od ręki załatwił... Sprzedał od razu wszystko... Sześćdziesiąt pudełek kakao...

Brożka ogarnęła wściekłość, z trudem ją pohamował. Magda zauważyła, co się z nim dzieje, ogarnął ją strach.

– Ja nie kłamię! – powiedziała błagalnie. – On im zapłacił po sto złotych za puszkę, razem dostali sześć tysięcy. Te kretyny – ze złością szturchnęła w bok swego brata – zaraz czterysta złotych przepili i przeżarli. Mam z nim życie, nie mogę tego bałwana z oczu spuścić. Jakbym przyjechała później, to jeszcze więcej by przetracili. Mariana zaraz wysłałam do domu, a z ojcem kumpli pojechaliśmy na Brzeską, żeby odebrać towar i zwrócić pieniądze. Meliniarz obśmiał się tylko i powiedział, że nie po to kupuje trefny towar, żeby go z powrotem za te same pieniądze sprzedawać. To powiedziałam, że zapłacimy z jego zyskiem. Wie pan, ile ten dziad zażądał za jedną puszkę?

– Tysiąc sześćset złotych! – niespodziewanie zaseplenił Marian, widać dotychczas wstrząśnięty wysokością sumy.

– Cicho bądź, gnojku! – zgromiła go siostra. – Tysiąc sześćset złotych! – potwierdziła ze zgrozą. – No to powiedziałam mu, żeby sobie te puszkę wetknął w zadek. W Delikatesach taniej się kupi...

– Co zrobiliście z dolarami?

– Te osły spuściły je również za jednym zamachem u tego dziadygi, razem z puszkami, bo on wszystko kupuje. Ale pieniędzy jeszcze za dolary nie dał, obiecał pojutrze. Ale da na pewno, pod tym względem to on jest solidny.

Brożek z trudem powściągał wybuch złości. Dziewczyna usiłowała załagodzić sytuację. Była naprawdę szczerze zmartwiona, że powstały takie komplikacje.

– Mam te pięć tysięcy sześćset złotych – wysupłała banknoty zza podszewki kurtki i rozłożyła w wachlarzyk, aby się mógł naocznie przekonać. – Ja i Maniek będziemy u pana tyrali, żeby zarobić, i odkupimy panu całe kakao co do jednego deka. Wybierze pan sobie w Delikatesach, jakie pan tylko zechce, najdroższe – zapewniła. – W nocy wyciągniemy ten zatopiony worek, według pana rachunku powinno tam być dwadzieścia puszek, i nie będzie pan stratny.

– Marian, idź przerzucić kompost – rozkazał Brożek. Osilek wstał i posłusznie wyszedł z oranżerii.

– Magda – powiedział doktor. – Pójdiesz do tego pasera i odkupisz wszystkie pudełka kakao.

– O rany! – jęknęła. – Warto panu? Po co bulić tyle forsy dziadydze, przecież w Delikatesach...

– Milcz! – krzyknął rozzłoszczony. Przestraszona ucichła. – Chodź, zawiozę cię na Brzeską, poczekam na dole. Dobijesz z nim targu i zejdiesz do mnie do samochodu po pieniądze.

Pojechali na Brzeską – Brożek zatrzymał się na podjeździe Dworca Wschodniego. Magda poszła dalej piechotą. Weszła do bramy starego, czynszowego domu. Skierowała swe kroki ku oficynie i drewnianymi schodami wspięła się na piąte piętro. Była to ostatnia kondygnacja – wyżej znajdowały się już tylko strychy. Zadzwoiła do drzwi. Na mosiężnej tabliczce widniało wygrawerowane imię i nazwisko gospodarza: Paweł Hilarczyk.

– Ale tu wysoko, musi się pan zdrowo namęczyć, w pana wieku – zaczęła towarzysko. Paser nie był zgrzybiałym starcem, a człowiekiem w pełni sił, ale Magdzie wydawał się wiekowy.

– Czego chcesz? – spod nawisłych brwi badawczo przyjrzały się dziewczynie ciemne, przenikliwe oczy.

– Przyszedłam wykupić towar – mruknęła nonszalancko.

– Aha! Namysliłaś się? Już nie chcesz w Delikatesach, mimo że tam podobno taniej? Znasz moją cenę – sondował ją spojrzeniem.

– Znam – uspokoiła się nieco, bo przypomniała sobie o celu swej misji. – Niech pan daje wszystko – burknęła.

– Warto ci? – dziwił się Hilarczyk. – Dlaczegoś się tak uparła właśnie na te pudełka.

– Obchodzi? – parsknęła. – Pan ma towar i zysk, ja jestem kupiec i płacę gotówką.

– Masz tyle pieniędzy? – zwłóczył Hilarczyk.

– A co, udziela pan kredytu?

– Dobrym znajomym udzielam – skinął głową.

– Szkoda śliny. Mnie pan nie udzieli. Mam pieniądze – wysupłała ze skrytki za podszewką kurtki zwitek banknotów. – Zadatek... – machnęła nimi przed nosem pasera.

– Nie trzymam towaru w domu, moja mała – mruknął. – Tutaj mam tylko pięć pudełek. O resztę możemy się umówić.

– Dawaj pan za wszystkie pieniądze – podała mu banknoty. – Kiedy i gdzie przyjechać po resztę?

Po namyśle zdecydował, że spotkają się następnego dnia wieczorem koło cmentarza bródnowskiego.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI